

16 lutego, poniedziałek

Wanna z wałeczkiem brudu. Na niebieskiej, kafelkowej podłodze różowe, wielkie majtki i pończochy. W umywalce grzebień, na nim siwe włosy. Tak co drugi dzień. Bez wyjątku. Przez prawie dwa lata.

Przez prawie dwa lata opowieści jędzy o dobrym wychowaniu, kulturze osobistej, kindersztubie, upadku obyczajów, bo jak to można pokazywać w telewizji reklamę papieru toaletowego i podpasek (słowo to zawsze wypowiedane półgłosem) i postępującej degeneracji młodego pokolenia.

Z szafki wyjmuję szczotkę i pudło proszku. Mycie brudnej wanny po ciotce to i tak nic w porównaniu z myciem po niej muszli. Myję i powtarzam sobie słówka z angielskiego. No, coś dziś jędza zapomina o ziołach. Na pewno jej nie przypomnę. Już posprzątane. Do jutra.

Idę do swojego pokoju. Nadal nie mogę przyzwyczać się do jego wysokości i wielkości. W znacznie mniejszym i niższym mieszkałam przez lata z Angeliką i Patrykiem. I babcią Bronią, która zjeżdżała do nas co zima.

Pod oknem szeroki tapczan, obok stolik na pajęczych nóżkach, biurko z nadstawką, krzesło, dwie szafy, w rogu piec kafłowy przerobiony na elektryczny. Na ścianach kilka litografii i obraz – różowe piwonie w niebieskim wazonie. Ściany szaroszafirowe, ze złotym wzorem winogron. Wymagają natychmiastowego przemaalowania. Na dębowym parkiecie dwa wytarte bordowe dywaniki.

Nie lubię tego pokoju. Czuję się w nim jak na zapleczu Desy.

– Marcyśka! Moje zioła! Tylko szybko. Powinłam je wypić dwadzieścia minut temu! Szybko! Szybko! – panikuje jęzda. – Przygotowałaś mi już wieczorne tabletki?

I tak będzie do dwudziestej pierwszej. Potem wsadzi sobie w uszy zatyczki, odmówi różaniec i zaśnie. Obudzi się o 6.30, żeby mi powiedzieć, jak to źle spała, nawet nie zmrużyła oka i czy mogłabym jej zaparzyć herbatkę miętową, bo już nie czuje wątroby. Coraz częściej mam ochotę napluć jej do tych ziółek.

Przez prawie dwa lata. Z wyjątkiem wakacji. Ferii. I świąt.

Za dwa miesiące Wielkanoc. Najpierw posprzątam mieszkanie jęzdy, potem nakupię mazurków, serników, buraczków, szynki, bukszpanu, żonkili, bo je lubi, poszukam też cukrowego baranka i pojedę do domu. Mama od razu zagna mnie do roboty. Umyję okna, podłogi, wytrzępię chodniki. Angelika co najwyżej posprząta łazienkę, Patryk pewno znowu się skaleczy albo coś sobie skręci. Pójdziemy do kościoła ze święconką, przyjdzie ciocia Tosia z dziećmi, ojciec znowu się upije. Wrócę do Krakowa i wysłucham biadoleń jęzdy o okropieństwie samotnie spędzanych świąt, o bolącej wątrobie i o tym, że w telewizji nie było nic ciekawego.

Najchętniej bym ten czas spędziła całkiem sama.

Biorę zioła z tego wysokiego zielonego pudełka. To na star-gane nerwy. W czerwonym pudełku są zioła na dobry sen (no, ale one nie pomagają), a w żółtym na obniżenie ciśnienia. Biały fajansowy kubek z parującą zawartością na srebrną tacę, obok niebieski porcelanowy talerzyk z biszkoptami. Wyłączyłam czajnik? Tak. Korytarzem prosto, drugie drzwi po lewej. Sypialnia. Duszna, pełna poźółkłych zdjęć wiszących na ścianach. I serwantki z trzema półkami zapełnionymi lekarstwami.

Ciotka, wyprostowana jak struna, siedzi w fotelu przed telewizorem. Na kolanach szary koc. Kiedyś wylegiwał się na nim Gwiazdor – potężny, leniwy kot. Rok temu zdechł. Jęzda rozpaczła trzy dni, a dwa wykrzykiwała, że to moja wina, bo z pewnością nakarmiłam go nieświeżym mięsem albo starymi jajkami. Potem wymyśliła, że ta „żydówka” Józwiakowa dała mu truciznę. Sprawa wyjaśniła się, gdy pani Kamykowa, sąsiadko-przyjaciółka z trzeciego piętra, zeznała, że wi-

działa Gwiazdora, jak zjadał trutkę na szczury, wysypaną w piwnicy.

– Posprzątałaś już w łazience?

– Tak.

– Dokładnie? – Nawet na moment nie odrywa wzroku od telewizora.

– Tak.

– Wyłączyłaś czajnik? – Pyta o to od prawie dwóch lat. I o to, czy zakreśliłam wodę nad wanną, czy wyrzuciłam śmieci, czy zarejestrowałam ją do lekarza, kupiłam szynkę drobiową i wypastowałam podłogę. Kto by przypuszczał, że można być tak wrednym... – Wyłączyłaś czajnik? – powtarza zniecierpliwiona.

– Tak.

– Na pewno?

– Na pewno.

– To dobrze. Jednej mojej znajomej dom się spalił. Zapomnieli wyłączyć żelazko. Wyjechali na parę dni. A jak wrócili, to już nie mieli nic. – Słyszałam tę historyjkę już z tysiąc razy.

Stawiam tacę na okrągłym stoliku i przeciągam go w stronę fotela.

– Znowu była reklama podpasek – szepcze teatralnie. – Takich dziwnych. Z jednej strony to tak cienkie, że ich prawie nie było. Ale miały motylki.

– Skrzydełka – poprawiam bezwiednie.

– Zaraz będzie film. Ten o miłości. Pooglądasz ze mną?

– Nie mogę.

– Nigdy nie masz dla mnie czasu! – W głosie pretensja, usta w podkowę, wszędzie zmarszczki, wzrok obrażony. Wygląda to komicznie.

Naraz mam ochotę podrażnić się z nią.

– A może przełączymy na inny program? – pytam z grzecznym uśmiechem. – Na jakiś film dokumentalny?

– Ale ja chcę romans.

– Film dokumentalny to bym obejrzała.

Jęzda myśli. Albo romans solo, albo dokument ze mną. I wtedy ma do kogo mówić. A tego jej cały czas brakuje.

Przerzuca kanały.

Patrzę na nią ukradkiem. To kiedyś musiała być piękna kobieta. Mama mówiła, że z ciotki zawsze była niezła dziwaczka. Wyjechała z Miąsowej do Krakowa szukać pracy. Znalazła ją jako służąca, a potem znalazła męża. Jakiegoś Henryka, urzędnika pocztowego, starszego od niej o dziesięć lat. Henryk umarł zaraz po wojnie, ciotka została sama. Te zdjęcia na ścianach to właśnie jego. Chudy, ponury mężczyzna ze śmiesznymi wąsami.

– Oj, dobrze, niech już będzie. Tylko nie o wojnie – zastrzeżę. – O wojnie nie. Nie kręć się. Aha. Podaj mi poduszkę. Podłożę sobie pod plecy. Nie, nie niebieską. Czerwoną. Coś dziś nieszczęśliwie wyglądasz...

– Źle się czuję – mówię zgodnie z prawdą. Boli mnie głowa i brzuch, bo właśnie dostałam okres.

– Oj, nie kłam. Młoda jesteś, zdrowa, nie to co ja... Ciii... Zaczyna się.

Biało-czarne zdjęcia. Reportaż o mężczyźnie, chyba z Wielkopolski, który jest miejscowym hyclem. Niby nic. Zajęcie, jak zajęcie, ale on te psy je. Ohyda. Zerkam na zegarek. Minęło dwadzieścia minut. Koniec zabawy.

– Ciociu, na śmierć zapomniałam, że mam jeszcze dużo lekcji. Muszę iść, niech ciocia sobie przełączy na romans.

– Teraz mi to mówisz? – biadoli jędza. – Nie oglądałam początku.

I o to mi właśnie chodziło.

Idę do siebie. Siadam przy wielkim, czarnym biurku, zapalam mosiężną lampkę i otwieram podręcznik.

Najpierw muszę się uspokoić. I zaplanować, co jeszcze dziś mnie czeka. Pranie, prasowanie, cowieczorny masaż pleców jędzy. Jeszcze przygotować rachunki, bo chyba jutro trzeba je popłacić. I lekcje.

Już tyle razy miałam ochotę wygarnąć jędzy, że nie jestem jej służącą, że co innego opieka, a co innego mycie po niej muszli! Inaczej umawiała się z rodzicami. Pobożne życzenia. Przecież wiem, że gdy tylko to wygarnę, zostanę wyrzucona. Wtedy nie zrealizuję swojego planu.

Będę musiała wrócić do domu.

Przeniosą mnie do jakiejś zawodówki, którą chlubnie skończę, ojciec będzie chciał, żebym szybko znalazła pracę, a mama zacznie mi szukać męża. „No, tylko sama popatrz... Sylwia niby brzydsza od ciebie, a już narzeczonego ma. Ten jej Zenek to przecież po ojcu niedługo warsztat przejmie, ma dziewczyna szczęście...”

Jeszcze pomęcę się z ciotką, wytrzymam, a gdy dostanę się na studia, zamieszkać w akademiku.

Dobrze, teraz fizyka. Gdzie zeszyt? Jest.

– Marcyśka! Marcyśka!

Nie słyszę. Przecież ma wszystko. Może trzeba ją wysadzić? Z tygodnia na tydzień coraz bardziej angażuje mnie czasowo. I wiem, że robi to z premedytacją.

– Marcyśka! Marcyśka! Podaj mi jeszcze biszkoptów.

– Zaraz!

– Wątroba mnie boli – jęczy.

– Wypiła ciocia zioła?

– A nie! Zagapiłam się na film. Szkoda, że nie widziałam od początku. Wspaniały był!... Zjadłabym coś specjalnego. Na przykład śledzika.

– Nie mamy! – odkrzykuję. – Jędza, jędza – szepczę bezgłośnie.

– A od czego są sklepy? I kup mi landryn.

– Ciociu, przecież teraz się uczę!

– Wiesz co? Miałam ci nie mówić, ale co tam... Kiedyś twój ojciec powiedział, że z ciebie to niedobre dziecko. Chyba miał rację. Niedobre i bez serca dla starej kobiety.

Opieram głowę o blat biurka.

Koszmar mojego życia.

Myślałam, że „to” zostało w Mięsowej, ale nie. Przyłazło za mną do Krakowa. Zawsze byłam w jakiś tam sposób niedobra.

„...Młodsza siostrą byś się zajęła. Kury trzeba nakarmić. Pranie czeka! A ty ciągle w tych książkach siedzisz! Ojca w domu nie ma całymi dniami, jak wraca, to wiesz, albo zmęczony, albo podпиты. A ty mi wcale nie pomagasz... Żadnego pożytku nie mam z ciebie!”

„...Jadzia mi mówiła, że jej Mariusz, to cię na zabawę zapraszał, aleś odmówiła. Czego tak? Porządny chłopak, zawódkę kończy, pracowity... Tobie to żaden chłopak z Mięsowej nie pasuje. Wiecznie grymasisz, wybrzydzasz”.

„...Zamiast na to kółko do szkoły, mogłaś pojechać do Szymkowej śliwki rwać. Parę złotych byś zarobiła, ale ty nie. Szczepniarze nie chce się pracować...”

„...Nie chcesz jeść mięsa, twoja rzecz. No to co, że widziałas świniobicie? A bo to pierwszy raz świnia się wyrывa? Nie trafiłem od razu, też się zdarza...”

Idę do jędzy. Znowu wygrała. Wie o tym. Wpatruje się we mnie wzrokiem węża, który ma zamiar zaraz pożreć swoją zdobycz. Na kolanach trzyma portfel. Wyjmuje z niego pięćdziesiąt złotych.

– I trzeba było się ze starą kobietą kłócić? – Podaje mi banknot. – Kup jeszcze butelkę ajerkoniaku. Wiesz, co to jest?

– Tak.

– Ale nie kakaowy. Zapamiętasz?

– Tak.

– Przestań się obrażać. Myślisz, że mnie jest przyjemnie mieszkać na stare lata z kimś takim hardym? No, spiesz się. Przewietrzysz się, dobrze ci zrobi. Przynieś resztę. I rachunku ze sklepu nie zapomnij.

Bez słowa wychodzę z mieszkania. Wracam po dwudziestu minutach. Rozpakowuję zakupy, gdy dobiega mnie głos ciotki:

– Marcyśka, a kupiłaś mi krzyżówki?

– Nie.

– Tak po prostu zapomniałaś? Mieszkasz tu już wystarczająco długo, żeby zapamiętać, że raz na jakiś czas lubię sobie porozwiązywać krzyżówki. I do tego piję kieliszeczek ajerkoniaku.

Osuwam się wzdłuż ściany, którą malowałam rok temu. Boże, ja nie wytrzymam tutaj jeszcze nawet jednego dnia!

– Marcyśka! Poszłaś już?

– Żebyś zdechła, ty stara jędzo – mruczę. – Pomodłę się o to dziś wieczorem.

– Mówisz coś?

– Nie! – odkrzykuję i wychodzę z domu. I głośno trzaskam
drzwiami wejściowymi.

To pierwszy i jedyny objaw mojej niesubordynacji.

Od prawie dwóch lat.